

## STANISŁAWA IWAŃCZUK

---

Ochotniczka Stanisława Iwańczuk, ur. 15 sierpnia 1922 r., wieś Zamłynie, powiat lubomelski.

---

Byłam żoną rolnika, gospodynią, zamieszkiwałam ostatnio we wsi Rymacze. 10 lutego 1940 roku o godzinie 4.00 rano usłyszałam jakieś krzyki pod drzwiami. Ponieważ już nie spałam, ze zdziwieniem zaczęłam słuchać, co to takiego. Przerazliwym głosem zaczęli krzyczeć „otwieraj drzwi”, więc gdy przyszli, to nie pukali do naszych drzwi, tylko do starszego brata, gdyż mieszkaliśmy razem. Gdy weszli, to zaraz zaczęli szukać broni i powiedzieli, żebyśmy się zabierali. Było ich wszystkich dziesięciu, każdy tak ostro, wrogo był usposobiony aż strach każdego ogarnął. Pierwsze powiedzenie ich było: za pół godziny musowo być spakowanym. Mężowi i bratu nigdzie nie pozwolili się ruszać. Dzieci brata zaczęły bardzo płakać i ja też, po prostu nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Dzieci ze strachu puciekały trzy kilometry do znajomych, zaczęli szukać dzieci i byli bardzo źli. Jeden z nich jak wykrzyknie: – Zabierajcie, co najpotrzebniejsze! Więcej nie można wziąć, jak na jedne sanie. Spakowaliśmy bardzo mało, gdyż wtedy człowiek nie miał pamięci. Zawieźli nas najpierw do szkoły, gdzie było bardzo dużo rodzin zabranych jak my. W szkole był komitet, którego władze naradzały się, czy już nas odesłać na stację. Do stacji było 12 kilometrów. O godzinie 12.00 wyjechaliśmy ze szkoły, na 3.00 byliśmy na stacji. Załadowali nas do wagonu i zamknęli na klucz. Pociąg był towarowy. Wszyscy bardzo płakali, gdyż zamknęli i mówią, że pojedziemy w stronę Sybiru. Każdy był tak przestraszony, w dodatku wody nam nie dawano wcale, jedzenie to jeszcze niektórzy mieli swoje, dzielili się między sobą w wagonie. W każdym wagonie było po 38 osób.

Jechaliśmy 23 dni, przyjechaliśmy do Archangielska na stację. Z pociągu wzięto nas na samochody i 130 kilometrów jechaliśmy siedem godzin. Mróz był ogromny. Zajechaliśmy do klubu w Uspindze, była to kiedyś cerkiew, teraz przerobiona na klub. Rozgrzano małe dzieci, pobyliśmy przez całą dobę, później załadowano na sanie po pięcioro dzieci i bagaż. Starsi

szli na piechotę. Tak jechaliśmy dwa tygodnie. Dniami mieliśmy postoje, natomiast nocą jechaliśmy. Dlatego też dużo było wypadków zamarznięcia dzieci. Ja sama też przeżyłam dość, miałam dziecko w pociągu, a w drodze przez dwa tygodnie był bardzo duży mróz i głód i z głodu też i zimna umarło. Zawieziono nas na posiołek Ust-Niemo [?], karpogorski rejon, archangielska *oblast*, było to 600 kilometrów od Archangielska, w tajdze. Przymuszali chodzić na robotę do lasu na ścinanie drzew lub usuwanie śniegu z baraków. Płacono po trzy ruble tygodniowo. Chleba dostawaliśmy 800 gramów na robotników, po 300 na dzieci. Żyliśmy z dnia na dzień, oczekiwaliśmy jakiegoś zbawienia. Był to *lesopunkt*, było tam pięć baraków dużych, wszystkie baraki razem, gdzie komendant mieszkał i jeden był dla Polaków. Mieszkali kobiety i mężczyźni razem.

Pracowaliśmy ciężko. Wszyscy dostawali rano porcję zupy, na obiad znowuż zupa i porcja ryby, a na kolację tak zwany *kipiatok*, to znaczy herbata. Cukru dawali pół kilo na cały miesiąc, chleba 800 gramów na robotnika na cały dzień. Pracowali cały dzień po pas w śniegu, 48 stopni mrozu było w kwietniu, później w maju było niby cieplej, a śnieg nawet nie myślał topnieć. W gęstych lasach to wciąż śnieg leży, zimą i latem.

W jednym baraku mieszkało 45 osób. Doktora tam wcale nie było. Była niby siostra, ale lekarstw nie miała. Gdy kto był chory, a nie miał gorączki, to nie dała zwolnienia, a na uzdrowienie postawiła bańki i dała aspiryny i dalej, prędzej – wyganiaли na robotę.

Przez cały dzień tak ciężko [człowiek] pracuje, a jak przyjdzie do baraku, to zamiast odpocząć niszczy pluskwy lub mnóstwo innego robactwa. Wytępić ich nie było środków, gdyż było tak dużo, że jak kucharki gotowały zupę, to spadały z kominów do kotła. Myśmy dbali o czystość, chociaż raz w tygodniu (a najczęściej w niedzielę) praliśmy bieliznę i myli [się]. Co tylko trzeba było robić, to w ten dzień. [W tygodniu] poza pracą nic nie widzieliśmy. Byli na tym posiołku przeważnie Polacy i prawosławni, a przeważnie osadnicy wojskowi. Pracowali od rana do wieczora i stale jedni drugich pocieszali, że będzie nam jeszcze dobrze. Było około 60 osób razem z rodzinami, czasami było nawet 100 osób. To tylko jak był sezon na roboty, walczyli stale z władzami sowieckimi. Polaków aresztowali coraz więcej i odsyłali do ciężkiego więzienia, do Pinigi. Była to po prostu katorgia dla Polaków, jednak byli wytrwali i nigdy nie smucili sami siebie. Stale opowiadali, że zwyciężymy. Żyli między sobą bardzo dobrze. Przeżycie dnia było ciężkie, gdyż w dzień pracowali, a w nocy chodzili na badania. Najwięcej badali o godzinie 11.00 lub 2.00 w nocy. Byliśmy bardzo lekko ubrani, bo [ubrania] dawano tylko niektórym,

a przeważnie prawosławnym, gdyż oni zgadzali się – co Sowietci mówili, to oni tylko słuchali. Bardzo dużo Polaków poumierało, nazwisk dokładnie nie pamiętam, bo cmentarz nie był koło nas, tylko 12 kilometrów do niego było. Jak myśmy wyjeżdżali, to już 38 osób zmarło. Wszystkich rodzin było 36, to tylko 6 wyjechało, jak już była amnestia.

Pomoc z domu to ja miałam, często listy też dostawałam, co trzeci dzień, pocieszałam się, że dostaję listy z Polski, a w dodatku od mamusi. Był każdy bardzo ciekawy, jak to będzie.

O amnestii posłyszeliśmy koło 8 sierpnia 1941 roku. 10 sierpnia zostałam zwolniona z tej tak strasznej męki. 23 sierpnia wyjechaliśmy z posiołka, jechaliśmy dwa miesiące do oszyńskiej *obłasti* aradamdzajski [?] rejon, kołchoz [nieczytelne], tam byłam. Jeszcze z mężem zachorowaliśmy oboje na tyfus. Szpitala nie było, leżeliśmy oboje, nikt nie widział, pomocy żadnej nie było, aż za dwa tygodnie wzięli do szpitala, jak już lepiej się czułam. Było to straszne.

Wstąpiłam do wojska 3 kwietnia 1942 roku i teraz już tylko wspominamy te ciężkie chwile.